

Wycieczka.

— Naprawdę, droga moja, jesteś nierozsądna!

Filip Nerval nie życzył sobie, by Irena Guerlant, jego kochanka, kazała odkorkować drugą butelkę pieniącego się jabłeczniaka, koloru złotych topazów, lecz nie mógł oprzeć się spojrzeniu jej oczu, otoczonych firanką przyciemnionych rzęs — tych oczu wiecznie zdziwionych, jak oczy dziecka, które w drobne, niezręczne rączyny pragnie ująć wszystkie nieznanne mu okręty na świecie...

Kelner kawiarni w Dinard, gdzie się znajdowali, kręcący się w pobliżu, przysunął się posuwistym krokiem tancerza.

— Prawda, że jabłeczniak mój jest wspinał się?

Mówił „mój“ jabłeczniak, czubkami wymanicurowanych palców dotykając ust, jak gdyby go sam wyrabiał.

Irena klaskała w dłonie, zlekka już odurzona tym szkodliwym napojem, w którym odnajdywała zapach ojczystej Normandii, porzuconej od dzieciństwa.

— To miładnie! — zawołała zniemacka, zlekka ścisnąwszy dłoń Filipa, — że zapomina się o dzisiejszej rocznicy...

Istotnie, poznali się tutaj właśnie przed rokiem, lecz jedynie kobiety dokładnie pamiętają podobne daty, by znaleźć okazję do odbierania podarunków.

Wobec tego, że Nerval roku ubiegłego, w piękny i ciepły dzień wrześniowy poznał tę piękną, tegą i ponętą kobietę, było słusne, by dziś nie odmawiał jej niczego, a więc przede wszystkim wycieczki do Dinan, gdzie dotąd nie byli jeszcze. Irena rada była zabrać stąd kochankę wobec wszystkich półnagich kobiet na plaży. Mężczyźni miewają spojrzenia tak pełne hipokryzji, gdy na wybrzeżu podziwiają uśpione rzekomo kobiety, leżące w pozach helbeńskich na słońcu z przykrytymi powakami.

Będąc zazdrosną kochanką, Irena nie nawidziła spacerów przez muzeum świeżego powietrza. Postawiono zatem wyjechać do Dinan i powrócić koleją. Irena za wszelką cenę zobaczyć pragnęła wzięcie Gilles'a z Bretanii. Niewiadomo w jakiej powieści o kolorowej okładce przeczytała jego przygodę. Kobiety lubią się zawsze w romantycznych zdarzeniach, kierując się pragnieniem duszy, żadnej cudów. Wyjechali, nie dopiwszy drugiej butelki jabłeczniaka. W Dinan namyślali się długo nad wyborem jednego z woźniców o typie galijskim, zapoznanych Stendhal'ów, odgrywających rolę Opatrzności dla turystów. — Żadni ploteczki, nie zawsze poinformować mogą podróżnych o pomnikach miejscowych natomiast nic z historii osób prywatnych nie jest im obce: wiedzą o miłości pani podprefektowej do pięknego porucznika, ostatniej przygodzie miłosnej lokalnego donżuana — aptekarza...

W końcu wybrali siwiejącego, sympatycznego i gadatliwego woźnicę, który zawiózł ich do zamku, by Irena z rozkosznym dreszczem podziwiać mogła ciemnicę, gdzie biedny rycerz spędził tyle lat w mroku wil-

gotnych murów. Przewodnik wskazał im także otwór, przez który nieszczęsnemu wieźniowi podawano ńędzne — jak dla psa — pożywienie...

Co za fascynująca przygoda! Któryż z kochanków dzisiejszej doby mógłby dorównać podobnemu męstwu!

Było jeszcze za wcześnie na pociąg i ciekawość zwiedzających nie została jeszcze zaspokojona. Woźnica, zdjawszy załuszczone melonik, podrapał się w głowę, namyślając się nad dalszą wycieczką.

— A więc! — zawołał z przebiegłą miną — pokażę państwu coś niezwykle zajmującego. Pojedziemy do Saint - Louis!

Godzina jazdy na żółtym gościńcu, gdzie mijali ich w pośpiechu podróżni, odwracając głowy, okrywając ich kurzem i śmiesznością.

Stare fiakry paryskie, powozy na wygnaniu prowincjonalnym, noszą ślady swej walki o byt i robią wrażenie pojazdów, wystepujących na konkursie karnawałowym przed zamknięciem w muzeum pamiątek wraz z karetą pocztową Napoleona i landeni z czasów pierwszej Rzeczypospolitej. Irena i Filip śmiali się wesoło z tych nowobogackich, którzy obrzucali ich pogardliwymi spojrzeniami, jako przeżytki minionej epoki.

Wkrótce już zatrzymali się przed krata, za którą zieleniły się wysokie dęby. — Woźnica zszedł z kozła, pociągnął za dzwonek u furki i portjer w czarnej czapce otworzył wrota, by powóz wjechał mógł do parku, cudownego przybytku dawnych czasów, jakby stworzonego dla miłości.

To też Filip, pod urokiem otoczenia, nie rozgniewał się za bardzo, gdy jakiś mężczyzna dziwnie ubrany, podobny do robotnika przy pracy, powstał z trawnika i zaczął obrzucać Irenę kasztanami. Głupi śmiech jego towarzyszy, siedzących na ziemi, jeszcze podkreślał czelność tego wystąpienia. Opośtał mężczyzna solidnej budowy podtrzymywał jakiegoś osobnika, który potykając się, gestykułował, jak człowiek pijany.

Woźnica uznał za stosowne wyjaśnić: — Jesteśmy w przytułku dla obłąkanych. Och! proszę się nie trwożyć. Są to spokojni warjaci.

Irena i Filip doznali ścśnięcia serca. — Gdyby nie dobrodusza mina woźnicy, byłiby go skarcili surowo, lecz było widoczne, że był szczerze dumny z pięknego położenia przytułku i chciał się nim pochwalić w zrozumiałej dumie lokalnej.

— Wracajmy — zaproponowała Irena, zaniepokojona bliskością szaleństwa.

Woźnica uderzył batem swą szkapę, która zarżała jak koń najczystszej krwi.

Tymczasem na stopień wkroczył jakiś mężczyzna, ze strony Ireny i przytrzymał się powozu. Głosem dziwnie pieszczotliwym, nazywając ją po imieniu, belkotał coś niezrozumiałego. Słowa wydobywały się niewyraźnie z jego śliniących się ust i jakiś trick nerwowo unosił kącił jego warg, jak u psa, który ugryźć zamierza. — Filip powstał, by odtrącić intruza, gdy Irena, odwracając do niego twarz pobladła, przytuliła się do niego, jęcząc:

— Mój mąż! To mój mąż!

Woźnica, zajęty poganianiem konia, nie-

odrąz usłyszał szczekliwy belkot szaleńca, lecz ujrawszy go wreszcie, odwrócił się na koźle i zamierzył się na niego batem. Nie odwracając głowy, Irena krzyknęła, przerażona:

— Zostawić go! Zostawić! Nie robić mu nic złego! Jedźmy! Jedźmy stąd czempredzej!

Woźnica uderzył konia rączką bata i po wóz jak strzała pomknął ku wrotom.

Warjat z łagodnym grymasem na twarzy przyglądał się Irenie w ekstazie. Wisiał na stopniu, jak arangutang na gałęzi swej klatki w ogrodzie zoologicznym. Zniemacka głosem nosowym, przykrym dla słuchu, wyrzucił pośpiesznie słów kilka, skarykaturowaną odezwą czułości, najświętszej i najczystszej rzeczy na świecie:

— Irenko — kochanie — nie pozwólz mnie skrzywdzić, wszak prawda?

Gdy zbliżyli się do wrót parku, na szaleńca rzucił się portjer, wstrząsając nim, ponieważ bronił się w ataku nagłej furji. Dzwonkiem przywołać musiał do pomocy dwóch dozorców. Gdy zjawili się, odprawiał zwiedzających do wyjścia, tłumacząc zajście: zdarzyło się tak po raz pierwszy. Lekarze zawsze pozwalali mu poruszać się swobodnie; dotąd był łagodny, jak owieczka.

Na powrotnej drodze Irena szlochala rozpaczliwie, pozwalając czernidłu rzęs roz płynąć się na upudrowanej twarzy, tworząc śmieszna i zabawną maskę pierotki. Woźnica, trapiiony spóźnionymi wyrzutami sumienia, nie rozumiejąc o co chodził, usiłował żartować:

— Obywatel ten nie był tak obłąkany, jak się zdaje. Zna się na ładnych kobietach!

Irena przypominała sobie, że jest ładną kobietą i poprosiła o zatrzymanie się w przydrożnym zajeździe dla „naprawienia twarzy“ i wypicia czegośkolwiek.

I tutaj, w wyrazach, przerywanych wzruszeniem, a może i wspomnieniami, wyznała:

Tak jest, nie powiedziała kochankowi całej prawdy, gdy opowiadała mu o brutalności męża, którego porzuciła. Opuściła go prosto dlatego, że znudziło ją jego uczucie, którego już nie podzielała. Opowiadała jej wprawdzie, że przebywa gdzieś w zakładzie, lecz było straszne zobaczyć go z pniąciami się ustami, larwę człowieka, potwora, podobnego do dzikusów, produkowanych w budzie jarmarcznej... Zapomniała już o swojej krótkiej miłości dla niego, lecz teraz — po tej koszarnej wizji — wspomnienie jego jeszcze długo prześladować ją będzie...

Wzdychała jeszcze na powrotnej drodze z Dinan. Filip patrzył na nią ukradkiem, za kochany do szaleństwa, jak zawsze, lecz z domieszką dziwnego niesmaku, głuche go gniewu bez wszelkiej przyczyny, ponieważ chodziło o przeszłość odległą.

Cień zapadł w jego duszę, jak zmierzch na mury miasta. Po raz pierwszy poczuł przy sobie „naczynie nieczyste“ oczów kościoła, zwierzę drapieżne i syrenę zarazem, wilczyce, co stwarza potworów podobnych straszdyłu, jakie dojrzał przed chwilą.

Tłum. L. M.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VII.

Niedziela, dnia 29 czerwca 1930.

Nr. 27.

Boże Ciało w Łodzi.



Boże Ciało, święto, które posiada szczególnie dla Polski tak wiele uroku, święto, z obrzędem którego łączą się tak wzniosłe momenty z naszej przeszłości, było w Łodzi, jak rok rocznie, świętem podniosłym. Sprzyjające warunki, piękny, słoneczny dzień sprawiły, że ulicami miasta śpieszyła cała katolicka Łódź, by zogniskować swe myśli i skupić serca pod baldachem wiatry. Nieprzerwane falangi wiernych kroczyły zwarem szeregami procesyj do pobliskich ołtarzy z J. E. ks. biskupem Tymienieckim, J. E. ks. biskupem Tomczakiem, duchowieństwem i przedstawicielami władz na czele. Pierwszy widzimy kilka fragmentów z procesyj w dniu Bożego Ciała.

Fot. A. Meyer. Tel. 108-81.

TEATRALJA.

Premjery warszawskie. — „Odprawa posłów” na Wawelu. — Drobiazgi z za kulis.

Najciekawszą niewątpliwie z ostatnio wystawionych w teatrach warszawskich sztuk jest mowa komedia Brunona Winawera p. t. „Zły szeląg”, — co nie znaczy zarazem, by ta właśnie komedia była najlepsza w dotychczasowym dorobku autora „Promieni F. F.”. Naturalnie, p. Winawer jest pisarzem inteligentnym i dowcipnym, to też odbicie tych cennych zalet znaleźliśmy bez trudu w „Złym szelągu”. Ale jeśli chodzi o konstrukcję komedjową, o koncepcję rozwoju akcji o pogłębienie charakterów i o to wszystko wogóle, co decyduje o trwalszej wartości utworu scenicznego — brak jest tego, prawdę powiedziawszy, w „Złym szelągu”, a jeśli nawet tu i ówdzie błysnie jakiś lepszy pomysł, albo wznieść się pocznie coś w rodzaju solidniejszego rusztowania teatralnego, rychło blask zagaśnie, a rusztowanie zamieni się w kupę gruzów, na których hula sobie swobodnie feljetonowy żart i zupełna bezpretensjonalność autora. Główną figurą komedji Winawera jest niejaki Deszel, z tej linii genealogicznej Deszłów, która nie ma powodzenia w zapasach z życiem, a to ze względu na swe marzytelstwo, idealizm, itp. zbłytki, będące szkodliwym hałastem w naszych przyziemnych czasach. Owego smętnego Deszła prześladowuje niezmiennie piekielny wprost „pech”; począwszy od tego, że w kraju, gdzie nikt nie posiada pieniędzy, jest on właścicielem „fabryki kas ognioburwałych”, aż do zupełnie innych dziedzin egzystencji, którą pedzić musi z jakąś starą i głupią babą, zamiast z młodą i kochanym stworzeniem, panną Niną. Takie studjum „pechowca” który nb. w zupełnym poddaniu się wyrokom swego „pecha” znajduje jakąś przewrotną rozkosz i satysfakcję, mogłoby być pod niejednym względem bardzo interesujące. Niestety jednak, figura ta w komedji p. Winawera nie posiada dostatecznej pełni i wyrazistości, cierpi w oczach widza, na zupełną prawie przypadkowość nieskoordynowanych, nieuzasadnionych czynów i — choć niekiedy bawi — nie może wywołać silniejszej emocji estetycznej czy intelektualnej, potraktowana bo została zbyt pobieżnie i powierzchownie, choć skądinąd zręcznie i z humorem.

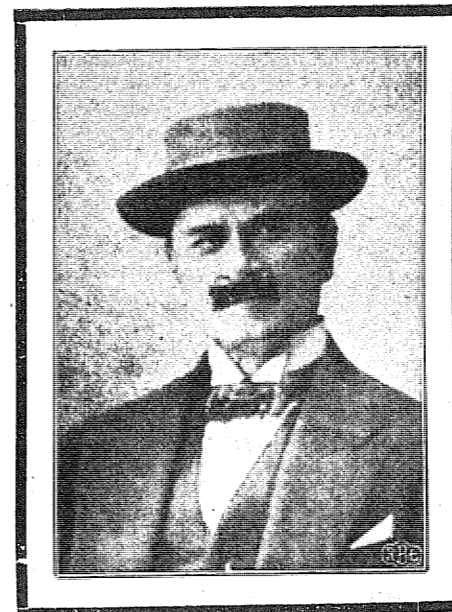
Mimo te wszystkie zastrzeżenia „Zły szeląg” należy do wyższej znacznie klasy, niżli liczne komedje współczesne, puste najdokładniej i jałowe, gdzie głupstwo goni głupstwo i głupstwem pogania. W komedji Winawera, nie bacząc na niedoskonałość jej strony technicznej i nietylko zresztą technicznej, jest przecież jakaś głębsza myśl, jakiś poważniejszy sens, dający się ująć w zaprawioną goryczą formułę: o zwycięstwie życiowym karierowiczów, blagierów i łobuzów nad t. zw. szlachetnymi idealistami, dla których zabrakło dziś prosto miejsca na ziemi... Sztukę wyreżyserował świetnie mistrz Solński, dając jej pierwszorzędną i należycie dobraną obsadę aktorską, w osobach pp. Gawlikowskiego (Deszel), Orwida, Kurnakowicza, Gromnickiej i Jarszewskiej w rolach głównych.

Teatr Letni gra „najświeższą” krotoczwilę Wacława Rapackiego p. t. „Wysoka stawka”, opartą na temacie trochę przykrym i drastycznym, „wysoką stawką” bowiem jest — żona, przegrana w karty przez pewnego utracjusza. Sytuacja znajduje jednak rozwiązanie pogońne i farsowe. Oto ów gracz przegrał w karty „prawdziwą” żonę, bałsko dość stare i otrzędę, nie zaś piękną i „cieplą” wdówkę, która jeszcze „prawdziwą” żoną nie jest, ale za taką powszechnie uchodzi. Lecz i problematycznie szczęśliwemu (w tych okolicznościach) partnerowi los zsyła pocieszenie: zamiast starej mamy gotowa się „poświęcić” w roli „wysokiej stawki” dorosła i młoda córeczka. Propozycja reżyserska pamiętnik zostaje przyjęta, a małżeństwo pieczętuje ostatecznie osobliwą grę. Krotoczwila Rapackiego zdradza niewątpliwie talent autora i tak zrozumiałą u niego właśnie instynkt sceniczny; posiada w miarę sentymentu, trochę pikanterji, a choć jest w istocie rzecz banalną potrafi dobrze zabawić zwolenników tak par excellence warszawskiego autora, jak Rapackiego. Pole do popisu w „Wysokiej stawce” mają pp. Chaveau, Gella, Majdrowiczówna, Łuszczewski i Hnydziński.

„Teatr „Ateneum”, którego dyrekcję obejmują pomóż wkrótce Stefan Jaracz, jako letnią premjerę dał graną niedawno w Łodzi, ucieśzną groteskę Betscha p. t. „Władza się nie myli”, czyli „Dziwne wędrówki Salvermosera”. Makabrycznie wesołą historję dziwnych zaiste przemian cukiernika Salvermosera zagrano w Warszawie do brze, wystawiono starannie (w głównych rolach pp. Piekarski, Perzanowska, Poreda), to też widownia ma tu dosłownie kilka kwadransów szczerego i niewymuszonego śmiechu. Najzabawniejszy zaś w tem wszystkim jest fakt, że jakiś domorosły krytyk dopatrywał się w grotesce Betscha niemal „anarchistycznych” tendencyj, załamując niepotrzebnie ręce nad możliwością fatalnego rzekomo jej oddziaływania na publiczność polską. Oj! czasy... czasy... Po licha było zmieniać tytuł i wywoływać wilka z lasu.

W operze wznowiono po... 28 latach, „Święto ognia”, balet - operę Zygmunta Noskowskiego, z librettem M. Prażmowskiego. Pomimo wartościowej muzyki tak wybitnego symfonisty i instrumentalisty, jak ś. p. Noskowski, widowisko to — na dzisiejsze czasy — jest zbyt nużące, ze względu na niesłychaną ubogłość i naiwność akcji i nie mogący rekompensować tych braków nadmiar elementu tanecznego. Dodajmy jeszcze, że w operze warszawskiej uczyniono bardzo niewiele, aby dzieło Noskowskiego scenicznym odświeżyć, pod względem układu reżyserskiego — zmodernizować, z tańców uczynić barwną, żywą grę ruchu, światła, kolorów. Dlatego też, mimo udział w widowisku p. Szmolcówny oraz staranność wokalistki pp. Terenikowczy i Brodnickiego — trudno wróżyć „Świętu Ognia” dłużej trwające sukcesy. Atmosfera opery stołecznej — w przededniu zmian najrozmaitszego rodzaju — pełna jest miżmazów bezwładu, niepewności itp. To się nie może nie odbić na stronie inscenizacyjnej widowisk, choćby nawet poszczególni wykonawcy stali na wysokości zadania.

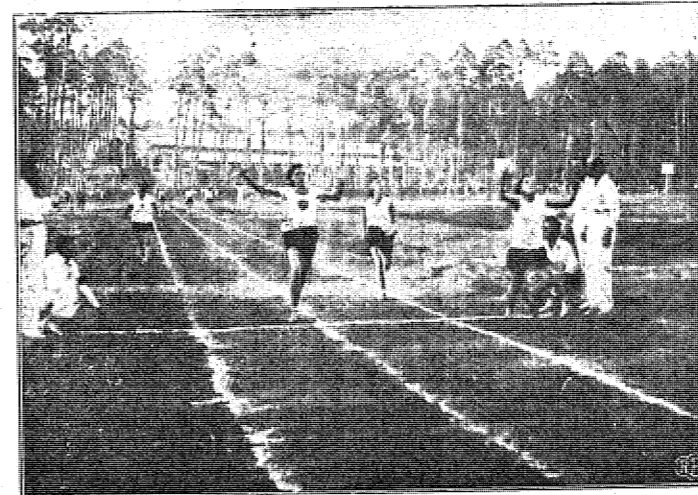
Delta.



Ś. p. dr. Wincenty Gajewicz, wybitny lekarz i prawy człowiek, zmarł dnia 19 czerwca 1930 roku w Łodzi.



Święto sportu młodzieży łódzkiej w Spale, zorganizowane staraniem P.W. i W. F., zamknęło w sobie tak wiele piękna żywego i uroku, że długo po zostaniu w pamięci wrażenia ze Spale. Na zdjęciu widzimy P. Prezydenta Rzpłitej, rozdającego nagrody przeznaczone dla zawodników.



Młodzież szkół łódzkich na zawodach sportowych w letniej rezydencji P. Prezydenta Rzpłitej w Spale. Fragment z biegów pań. Uczestniczki biegu na miecie.



Stow. „Orle” zorganizowało kurs instruktorski dla kierowniczek sekcji kobiecych. Powyżej widzimy grupę uczestniczek kursu.



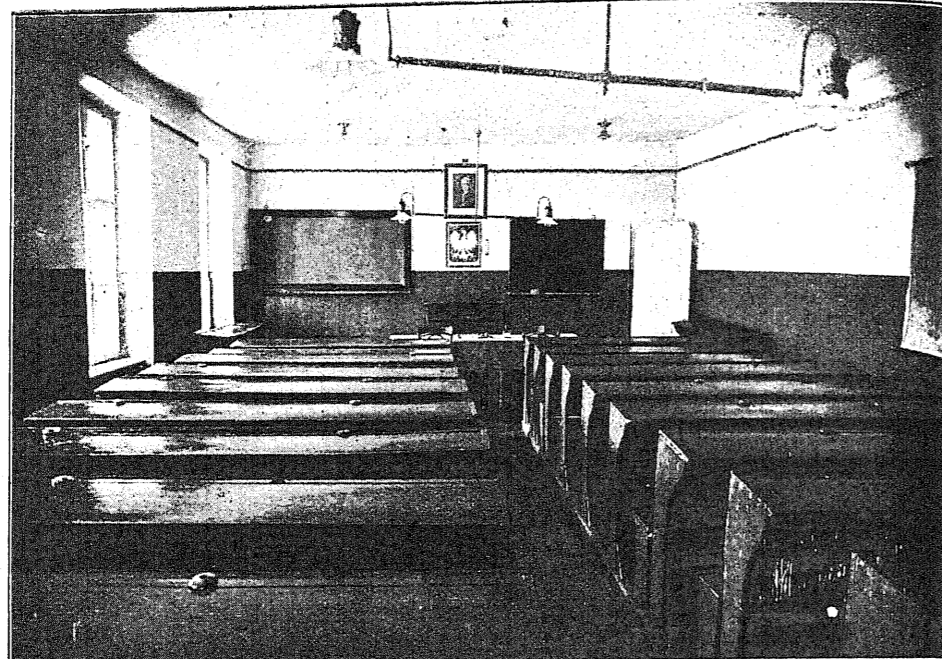
Procesja wiernych w dniu Bożego Ciała przed ołtarzem polowym przy pałacu kurji biskupiej w Łodzi.



Młodzież i działka w parku im. Poniałowskiego posiadała miłą rozrywkę na zainstalowanych przyrządach gimnastycznych.



Straż Ogniowa Ochotnicza w Radogoszczu obcho dziła uroczystość poświęcenia nowego sztandaru, ufundowanego przez dyrektora Łódzkich Kolejek Dojazdowych p. Gerlicza. Na zdjęciach powyższych widzimy uczestników uroczystości z fundatorem dyr. Gerliczem oraz prezesem Syndykatu Dziennikarzy łódzkich red. Czesławem Gumkowskim na czele.



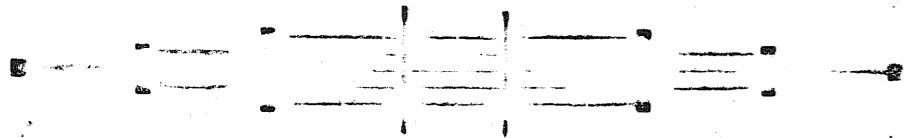
W dniu 20 czerwca r. b. koła buchalteryjne Łodzi święciły uroczyste 25-letni jubileusz znanych i cieszących się dużym uznaniem i poważną wenią kursów handlowych oraz pracy zawodowej ich dyrektora p. J. Mantinbanda. Uroczystość ta odbyła się w sali Łódzkiego Męskiego warszenia Śpiewaczego w niezwykle licznej gronie byłych uczniów jubilatą, oraz przedstawicieli miejscowego społeczeństwa. Na zdjęciach powyższych widzimy od strony lewej jubilatą dyr. J. Mantinbanda, na prawo zaś jedną z sal wykładowych kursów buchalteryjnych.



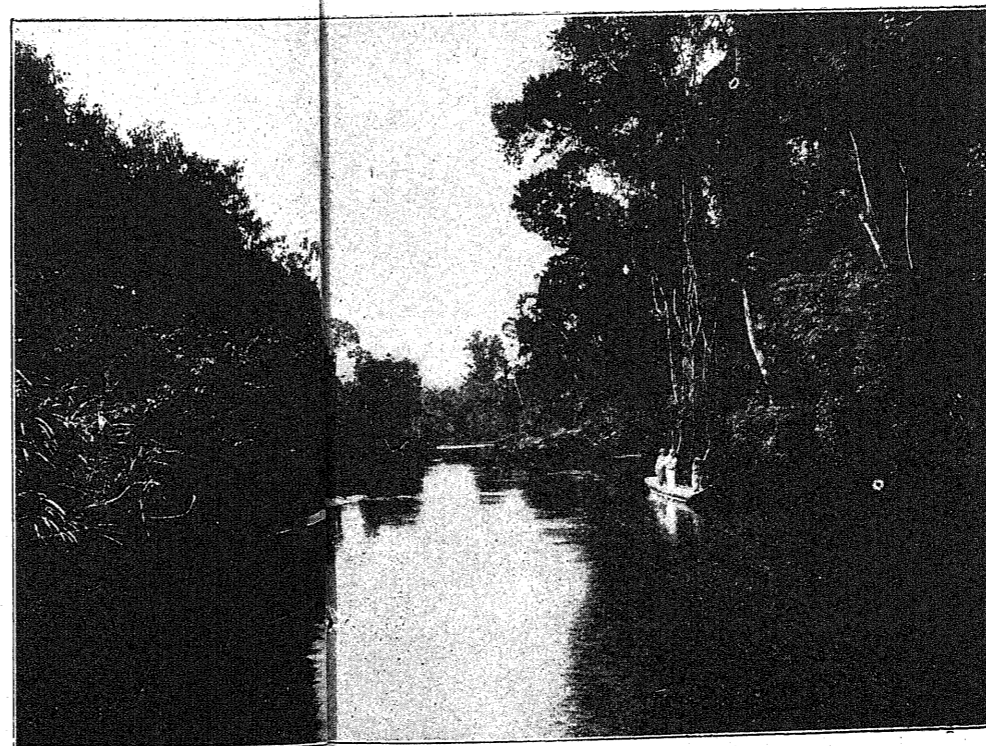
Ciekawy i pełen efektownych momentów był film p. n. „Czarne Sylwetki“ wyświetlany na ekranach całego świata, wzbudzając powszechny podziw. W filmie tym w rolach głównych występowali tej miary artyści jak Mary Astor i Edmund Lore. Fragment filmu widzimy powyżej.



Diomira Jacobina, wytworna artystka francuskich scen, występuje również w obrazach filmowych. Na zdjęciu powyższym widzimy ją w najlepszej kreacji w filmie p. n. „Noc miłosna skazańca“.



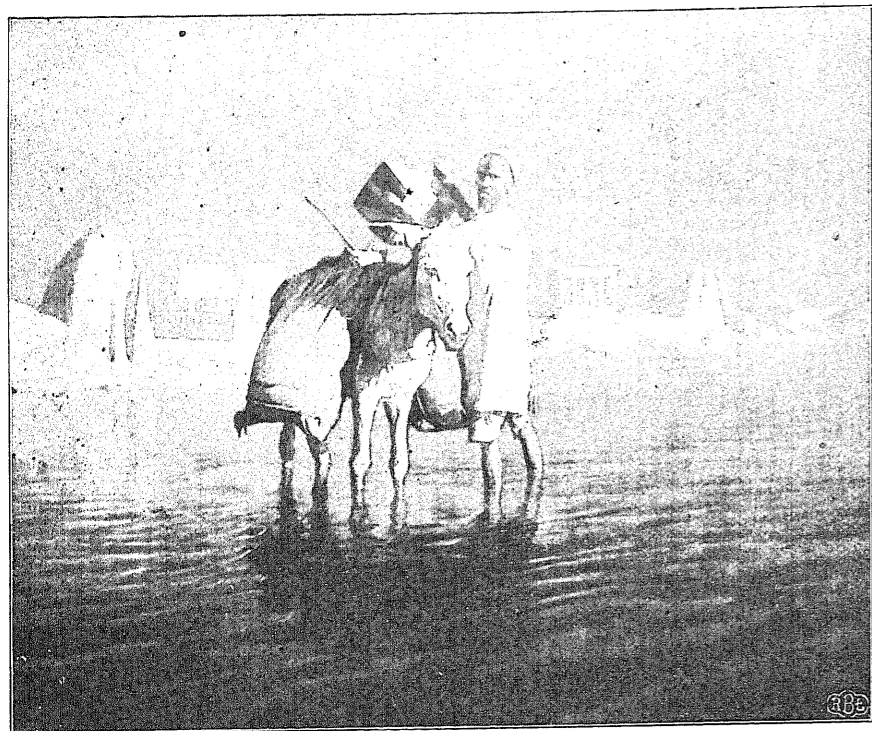
Kursy buchalteryjne J. Mantinbanda w okresie swego 25-letniego listnienia zdobyły sobie powszechne i zasłużone uznanie. Ławę szkolną (kursów opuściły poważne szeregi ludzi z fachowem i gruntownym przygotowaniem zawodowym. Powyżej widzimy dyr. J. Mantinbanda przy pracy w swoim gabinecie.



Latem w pełni swego kras rozpościera przed oczyma mieszkańców miasta tłumnie wylecnych poza jego ciasne i duszne mury prawdziwy urok i napawa powag. Szczególnie odwiedzane są licznie przez spragnionych wypoczynk mieszkańców ogrody i parki pozamiejskie, w zagrodzeniu których znajdują oni wiele miłych rozrywek i prawdziwe ukojenie, jak to widzimy powyżej.



Hollywood — ogród piękna i powabu posiada wśród wycych długokwitnacych kwiatów skromny a jak piękny kwiat w postaci Drany Miller artystki filmowej, która miłośnicy kina niejednokrotnie widzieli i podziwiali w wielu ciekawych rolach na ekranie.



„Nosiwoda w Egipcie” — Adam Styka.



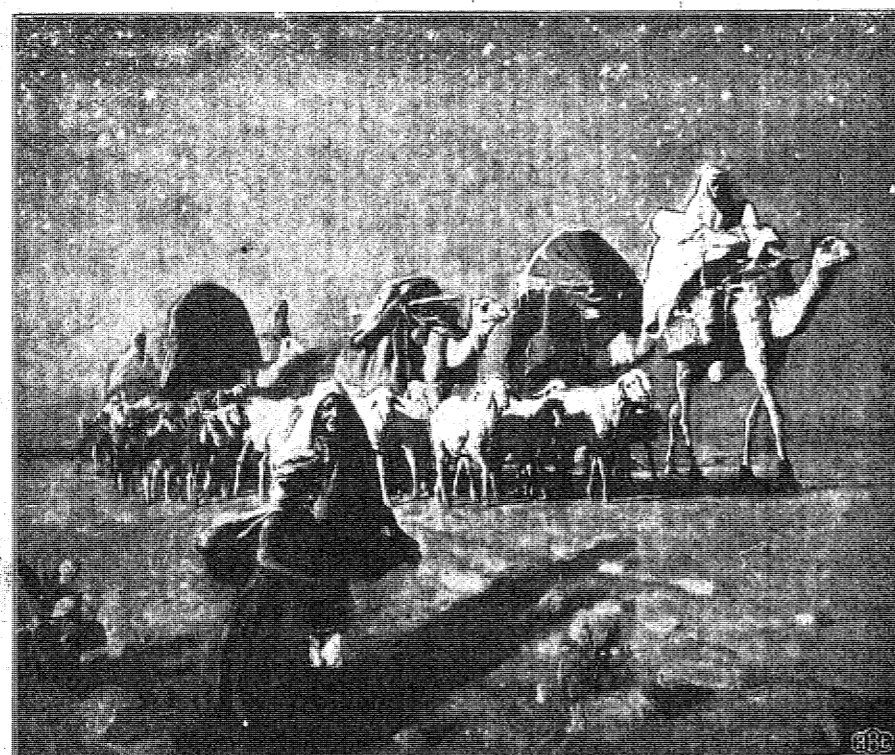
Młodzież żeńska w „Dniu Dziecka” w Łodzi.



Popisy gimnastyczne w gimn. im. Prusa.



William Desmond w „Klubie czarnej ręki”.



„Pochód karawany w nocy” — Adam Styka.



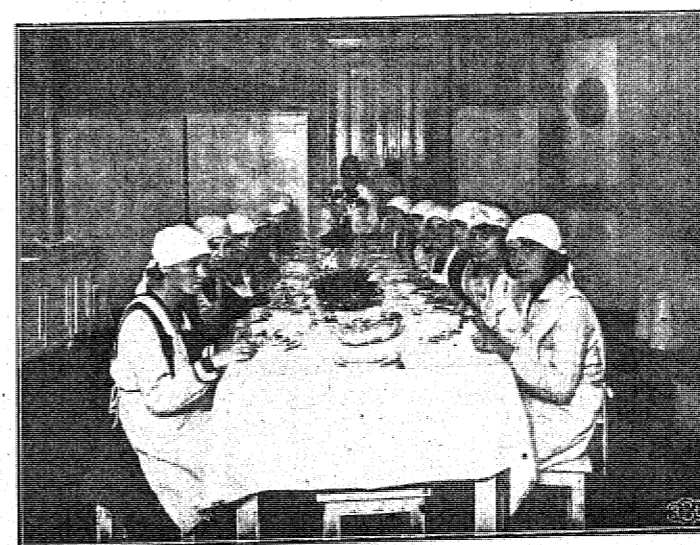
Znakomity artysta dramatyczny, p. Stefan Jaracz występował niejednokrotnie przed mikrofonem „Polskiego Radja”.



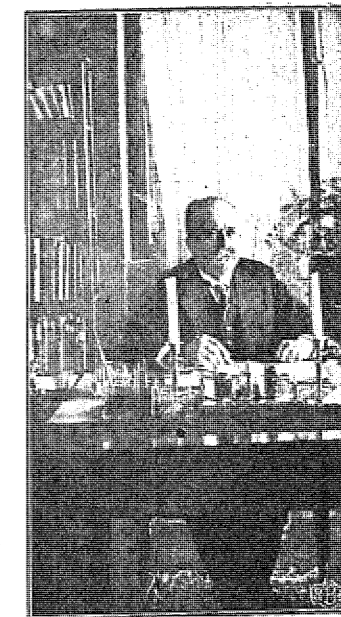
Polski Biały Krzyż to instytucja w wysokim stopniu zasługująca na wszelkie poparcie. Zadaniem i celem jej jest krzewienie oświaty wśród wojska i zwalczanie analfabetyzmu wśród żołnierzy. Powyżej widzimy fragment z uroczystego zakończenia kursu oświatowego dla żołnierzy w obecności pań nauczycielek i gen. Olszyny-Wilczyńskiego.



Nad realizacją budowy nowego gmachu Sądu Okręgowego w Łodzi pracowali znani w mieście naszym budowniczcy inżynierowie pp. Holcowie, ojciec i syn. Na zdjęciu widzimy od strony lewej p. Pawła Holca, na prawo p. Jana Holca.



Członkowie Związku Strzeleckiego na kursie gospodyń w Szkole Gospodarstwa Domowego w Łodzi.



Prezes Sądu Okręgowego w Łodzi, p. Stefan Bełżyński, w swym gabinecie w nowym gmachu Sądu przy Placu Dąbrowskiego.



Marcelina Day, znakomita gwiazda filmowa, ulubienica miłośników srebrnego ekranu.



Hufiec szkolny miejskiej zawodowej, dokształcającej szkoły Nr. 7, w dniu zakończenia kursu P.W. i W.F. z kierownikiem szkoły p. Brojerskim i ppr. Matusiakiem na czele.

Wypadek.

Pani Dorset, szykując się do wyjścia, zawiązała wstążki od kapelusza pod brodą.

— Nie zapomnij o suflecie z czekoladą, moje dziecko! — upomniła drżącym głosem Izabelę, odwróciwszy się do niej w przedpokojku — Gerard przepada za nim. Rad będzie go mieć na przywitanie.

Poczem, z parasolem w rękę otworzyła drzwi, weszła do ogrodu, wciągając w płucach ożywczy zapach bzu, którego galezie zwieszały się nad ganikiem willi, i żwawym podrygującym krokiem przebywszy aleję, znalazła się na ulicy w chwili, kiedy zegar na wieży Św. Florentyna wydzwaniał jedenaście. Uderzenia rozperliły się w jasno-błękitnym przestworzu w pogoni za pierzastymi obłokami, mknącymi ku morzu.

Na progu swej mleczarni Walerja Dompied zatrzymała panią Dorset pytaniem:

— Dokąd to wielmożna pani tak wczesnie? Do szwalni?

— Nie! — odparła stara dama, kręcąc głową z uśmiechem na twarzy — idę na dworzec. Na spotkanie mego wnuka, Gerarda. Pamiętasz, moja Kochana, Walerjo, tego dużego chłopca o wijących się włosach?

— Czy pamiętam? Ależ naturalnie! Przyjeżdża dzisiaj? Gdzie pracuje teraz?

— W Afryce, biedactwo! Nie miała to zasługa! Pomyśl tylko, Walerko! Patrząc na murzynów od stycznia do grudnia! Ja bym nie mogła! No, uciekam już! Od trzech lat nie widziałam go!

Skinawszy mleczarnie na pożegnanie, pani Dorset skręciła na rogu, idąc śpiesznie w stronę placu Hegesippe Simon, przylegającego do ulicy, prowadzącej do dworca.

Nagle, wiatr zmieniwszy kierunek, odwrócił ją ciepłą wioną trawy morskiej, podczas, gdy stado mew, szeleszcząc skrzydłami, przeleciało nad jej głową.

— Ależ dzielna, mimo swe siedemdziesiąt sześć lat! Co? — mówiła Walerja do swych klientów, skoro tylko stara dama oddaliła się.

— I dobra, jak amioł!

— I łagodna, niczem baranek!

Pocypały się pochwały z nad skłbek chleba, bryłek masła i piramid sera.

Pani Dorset tymczasem szła dalej swoją drogą, poczdrowiona uprzejmie przez aptekarza, który przyrządził jej proszki od febry i pana Rabot, przychodzącego co niedziela na partię ekarte do niej.

— Idzie na spotkanie pana Gerarda! — szepotali między sobą, mijający ją przechodnie.

— Idzie na spotkanie pana Gerarda! — zdawał się mówić pies wzeźnika, podniósłszy mordkę do pyska konia, którego Jofnville, dzierżawca przywiązał do słupa przy chodniku.

— Winiusznie, winiusznie! Pan Gerard przyjeżdża! — zawołał rejent Pons, ujrzawszy staruszkę zdaleka i ułożył się jej tak szerokim gestem, że stado gołębi rozsiadłych na stoście mierzwy końskiej, rozpięzchno się na wszystkie strony, gruchając.

Powietrze było czyste, świeże, rozłożone, radością tchnące. Kot sklepiarki przeciągał się rozkosznie w wyschniętym ścioku. Auto przemknęło z hałasem. Pani Dorset szła wciąż ku dworcowi wsłuchana w refren, którym dla niej rozbrzmiewał cały świat:

— Idę na spotkanie Gerarda! Ach, jakie życie będzie przez te trzy miesiące piękne!...

Oto już weszła do hull'a dworca, z tym skupionym wyrazem twarzy, który miewała zawsze, ilekroć przekraczała granice codziennych swych spacerów.

— Aha! — powitał ją serdecznie Exupere, urzędnik kolejowy — pan Gerard przyjeżdża dzisiaj!

Skinawszy głową, spytała drżącym ze wzruszenia głosem:

— Pociąg z Paryża?

— Na czwartym torze.

Oszczupiona warłocotem maszyn, sapiących wokół niej, pani Dorset, lawirując między publicznością, bagażowymi, koszmami, walizkami i kuframi wybrała wreszcie miejsce na peronie, gdzie stanęła wyprostowana sztywnie, przyciskając parasol do piersi i darząc pełnem współczuciem spojrzaniem trzy kury gdaczące ze strachu w zamkniętej klatce.

— Pociąg z Paryża? — spytała po kwadransie oczekiwania urzędnika, ugrajającego chorągiewką w rękę.

Niezrozumiałe mrugnienie zadowolonego narazie starowinki, oglądająca się na osoby przybyłe również po kogoś ze swych bliskich.

— A! Pan Gerard przyjeżdża! — zawołała nagle, podbiegając do niej jedna ze znajomych. — My oczekujemy Adeli, która przyjeżdża do nas na święta wraz ze swoim...

Wtem pociąg towarowy nuszyl z miejsc z hałasem, pełen wołów i baranów, których smutny ryk i beczenie bolesnym echem odbiło się w dobrym sercu pani Dorset.

Końcowy wóz ze swą niepotrzebnie mrużącą latarnią przemknął zaledwie, kiedy alarmowy sygnał rozbrzmiał w powietrzu i przerażona publiczność pobiegła w nieładzie trzaskając drzwiami i potracając się w popłochu.

— Co się stało?.. Co się stało?.. O, mój Boże!.. O mój Boże!.. — szepotała pani Dorset struchlałym wzrokiem wodząc po gromadzącej się na peronie ciżbie.

— Na most żelazny! — rozległo się nagle wołanie.

Ludzie, krzyżąc w niebogłose i potykając się popędzili we wskazanym kierunku. Pani Dorset porwana przez tłum, padając na ziemię i podnosząc się biegła wraz z nim, pytając raz po raz żalonym głosem:

— Ależ co?.. Co się stało?..

— Zderzenie pociągów! Są ranni!... — rzucił jej mimochodem grubo jegomość towarzyszący sobie drogę łokciami.

— Proszę poczekać na mnie! Proszę poczekać na mnie! — błagała go zrozpaczona staruszka, wymachując parasolem nad głową, podczas gdy bruchacz nikił jej z oczu w tłumie.

Ciżba dobiegła wreszcie do przerzuczonego przez rzekę żelaznego mostu.

Pani Dorset również znalazła się wraz z tłumem przy tonze zawalonym poprzeczanymi wagonami. Mechanicy obu pociągów otoczeni zwartem kołem żołnierzy, służby kolejowej i pasażerów rozprawiali, gestykulując żywo.

— Gerard! — rozległo się nagle żałosne wołanie.

— Alanko!

— Julien!

— Sosthene!

— Mężu mój!

— Synu mój!

Rozbrzmiał wnet wołania jak na komendę.

— Oszałeliście! — krzyknął naczelnik stacji, przybiegając — niema nikogo w przedziałach! Troje ramnych odwiezłono do szpitala! Uciszcze się!

Daremnie jednak uspakajali, przysięgając że są szkody materialne tylko. Tłum zelektryzowany rzucił się naprzód, wspinając się na stojące, by dosięgnąć drzwiczek wagonów.

Pani Dorset, wsparta na osi jednego z wozów stuknęła swoim parasolem w szybę, wołając wśród lkań:

— Gerard! Gerard!

Jeden z urzędników wziął ją w pól, usiłując odciągnąć od wagonu. Staruszka jednak trzymała się osi kurczowo.

— Mówię pani, że niema tam nikogo! — wrzeszczał jej nad uchem urzędnik.

— Jest! Jest! Tylko nie odpowiada mi!.. Słyszycie przecież, że mi odpowiada!.. — jęczała staruszka głosem przerywanym czkawką, uderzając z całych sił parascłem w szybę, która rozprysła się na kawałki.

— Gerard! Moje wnuczanko! — zanosła się pani Dorset łkaniem, wsuwając ramię w otwór.

Zgiełk wzmagał się. Wezwani żandarmi zabrali się do rozpedzenia tłumy. Rozległy się krzyki, białylka, jęki.

— Spokoju! Spokoju! — wołał jakiś mężczyzna nawpół przytomnie.

Wtem z drugiego pociągu, który przybywszy, stawał, zgrzytając hamulcami na dalszym torze, młody człowiek wyskoczył i biegnąc na peron, wołał:

— Jestem, babciu! Jestem!

Pani Dorset spojrziała w jego stronę, zachwiała się i zamknęła, wpatrując się we wnuka dżłkim wzrokiem, podczas gdy Gerard chwyciwszy jej dłoń mówił:

— Spóźniłem się na pociąg w Paryżu! Wsiadłem do następnego! Miałem szczęście!! To ja, babciu, to ja!

— Nieprawda! Nieprawda! — zawołała obłąkana staruszka, uderzając zakrwawioną dłonią w ścianę wozu — jesteś tam! Tam!! Tylko nie odpowiadaj mi! Gerard! Gerard! Moje drogie wnuczanko!

Trzeba było, odciągnawszy ją przemocą od przewróconego wagonu, związać i... tego samego jeszcze wteczoru, w chwili kiedy słońce zapadało w morze, rzuciło mrok na przerażone wypadkiem miasto — zamknąć w zakładzie dla furjatów.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

W murach Kochanówka.



W dniu 29 ub. m. odbyła się w zakładzie dla umysłowo chorych w „Kochanówce“ uroczystość pożegnania dotychczasowego prezesa zarządu tego zakładu, p. Horodyńskiego, dyrektora Towarzystwa „Elbor“ oddział w Łodzi. Na zdjęciu powyższym widzimy uczestników uroczystości z prezesem p. Horodyńskim w towarzystwie przedstawicieli świata lekarskiego zarządu zakładu z dyrektorem „Kochanówki“ dr. Starzyńskim na czele. W głębi personeli i obsługa zakładu „Kochanówka“.

Fot. A. Meyer, tel. 108-81.